

⁶⁶⁵**T**uwim czekał na mnie w drzwiach. — A, witam panienkę z zadartym noskiem — zawołał. I tak zaczęła się nasza najwspanialsza przyjaźń.

Tak też poznałam mojego męża Dobiesława Damięckiego, zwanego Damianem. Pierwsze jego słowa brzmiały: „Ależ pani ma nos!”, i nie wyrażały zachwyty. To było w warszawskiej restauracji „Pod Kogutem”, gdzie jadłam kolację z Januszem Warneckim i Szletyńskimi. Potem z Damianem spędziliśmy dwanaście cudownych lat.

Kiedy zmarł, a ja zostałam z naszymi synami, Damianem i Maćkiem, byłam bardzo bezradna. I nagle wstąpiły we mnie zupełnie nowe siły. Kiedy po raz pierwszy w życiu obejmowałam teatr, tu, w Koszalinie, pomyślałam, że on byłby ze mnie zadowolony.

Moje życie było bardzo piękne. To nie obłuda ani kokieteria. Wszystko prze-

IRENA GÓRSKA-DAMIĘCKA

Wygrałam życie

trwałam, jakby czyjaś opiekuńcza ręka przewracała karty mego losu. Osiągnęłam wszystko, co może osiągnąć kobieta przeciętna.

Moje życie... Jakże wspaniały był to czas... Zawsze mówiłam: dziś bywa tylko raz.

„...gdzieś w oszmiańskim powiecie...”

Urodziłam się w Oszmianie, niedaleko Wilna, niewielkim miasteczku pełnym drewnianych domków, pejsatych Żydów z ich „handelkami”, z jedyną murowaną pocztą. Tam czas płynął niemrawo. Moja matka założyła teatr, który musiał zastąpić jej scenę, o której w młodości marzyła. Zimą zasiadaliśmy, wszystkie jej dzieci, przy buzującym piecu w salonie, a ona opowiadała o Ofelii, o Lady Makbet, o Julii...

Mój debiut odbył się właśnie na scenie teatru mojej matki. Zagrałam Amelię w „Mazepie”. Zdałam maturę, kupiłam pierwszą długą, czarną suknię wieczorową — i pojechałam do Wilna,

by — jak się wtedy mówiło — wstąpić na scenę.

Pamiętam, szłam przez całe Wilno w tej mojej wytwornej sukni, do „Lutni”. Tam przywitano mnie ze zdziwieniem: — Panienko, to nie tu. Poszłam więc do „Reduty” na Pohulance, gdzie organizowano właśnie kurs dramatyczny. Wykładali profesorowie Uniwersytetu Stefana Batorego, nas była prawie trzydziestka. Po trzech latach zdałam egzamin u Zelwerowicza, i zostałam na dwa sezony w Wilnie u dyrektora Mieczysława Szpakiewicza. Później był Lwów — u Warneckiego, skąd wraz z nim przeniosłam się do warszawskiego Teatru „Buffo”, prowadzonego wspólnie z Tuwimem.

„Damian”

Siedzieliśmy „Pod Kogutem”, gdy weszli: Stanisławski, Leszczyński i nieznajomy — jakiś rozczochny, dziwny. To był Damian, znany „watażka” i uwodziciel, słyszałam o nim już we Lwowie. Przysłał do naszego stolika

kartkę, potem drugą. Szletyńscy przestrzegli — to kobieciarz! W końcu przysiadł się. I zostaliśmy razem na wspaniałych dwanaście lat.

Wybuchła wojna. Któregoś rana Damian przyniósł gazetę — zabito Igo Syma. Pobiegł natychmiast do ZASP, ja czekałam na koleżankę, miałyśmy razem jechać do krawcowej. W jednej chwili zdałam sobie sprawę z grozy sytuacji: mój mąż prowadził w teatrze otwartą, jawną walkę z Symem, nazywając go kolaborantem wprost w oczu...

Wyszłam z domu, wynosząc w muflę kilka niezbędnych drobiazgów. Wkrótce w gazecie ukazał się list gończy, Niemcy szukali Damiana. Ukrywaliśmy się, dramatycznie zmieniając mieszkania, wciąż znajdując przyjaciół. Któregoś dnia rozpaczliwie kołatał się, już po godzinie policyjnej, do zamkniętej bramy teatru. Byłam w ciąży. Nagle z okna domu wychyliła się kobieta, wpuściła nas i przenocowała. To była żona Stanisława Dubois, kolegi męża z powstań śląskich.

Pamiętam ostatnią kwaterę: wielki stół zasłany bibułą, w kącie cała skrzynia trefnego towaru konspiracyjnego i narada — akowski kwiat w komplecie. Nagle alarm, wpadają Niemcy. Do dziś nie rozumiem, jak to się stało, że rozbili klozet, wylali zupe, a tej skrzyni nie zauważyli... Jeden z Niemców poprosił o ogień. Damian podał mu zapalony zwitek bibuły.

„To nie był ckiwy melodramat...”

Wyjechaliśmy nazajutrz do Częstochy pod Ostrowiec Świętokrzyski. Wójt był wtajemniczony w sprawę i także konspiracyjny. Jednakże w przeddzień porodu gospodyni wyrzuciła nas, po prostu się bała. Mąż znalazł jakąś kwaterę na Podszkodziu i tam przyszedł na świat „Dudek”, czyli Damian. Pamiętam lzy na twarzy męża i okrzyk „Mam syna!”. Dwa i pół roku później urodził się Maciek, tym razem w szpitalu, tyle że na stryżku, by nikt mnie nie rozpoznał.

Mąż prowadził teraz szkołę, ja szorowałam podłogi. Byliśmy bardzo biedni, miałam tylko jedną zmianę bielizny. Ale mimo trudu czuliśmy się tacy szczęśliwi, radośni! Po latach napisałam w wierszu:

*To nie był ckiwy melodramat,
Pamiętasz rodził nam się syn...
Babka od krów dojenia prosto
Wpierw rozkroiła chleb nabożnie,
Tnąc pepowinę (...)
Pamiętam nocne rozmowy
Kim będzie on i co go czeka (...)*

I wciąż miałam wrażenie, że chwila, którą żyję, nie powtórzy się nigdy.

W 1951 roku mój mąż umarł. Byliśmy w Gdańsku, ja na rekonwalescencji, przygotowywałam też w Teatrze „Wybrzeże” dyplom reżyserski. On pracował w teatrze, tworzył, był w pełni sił twórczych. Nagle ten wspaniały, mocny dąb padł pod ciosami strasznej choroby. W dniu jego pogrzebu odbierano mój dyplom. Ale zanim to się stało...

Wpisani w teatr

Po wojnie z Juliuszem Osterwą, Leonem Schillerem i Stefanem Jaraczem przyjechaliśmy do Łodzi. Któregoś dnia przyszedł do teatru po męża, który grał Diabła, a Rysia Hanin Judytę w „Oczniu diabła” Shawa. I przypadek — Rysia zachorowała na tydzień przed premierą. Zrobiłam zastępstwo, to był wielki sukces.

Kiedy Damian objął w Warszawie Teatr „Rozmaitości”, wystawił pierwszą po wojnie „Zemstę”. Wcześniej zrobił „Żabusie”, w której grałam jeszcze we Lwowie, z Marysią Ankwicówną. To moja koronna rola. Z tym teatrem przez dwa lata objeżdżaliśmy całą Polskę. Kiedy, po awanturach, odebrano mężowi „Rozmaitości”, wyjechaliśmy do Gdańska. Tam zrobiłam „Pieją koguty” Józefa Bałtuszcza, powtórzone później w Koszalinie.

Wróciłam do Warszawy, niestety tylko z synami. Pracowałam we „Współczesnym” u Erwina Axera i tam zastała mnie propozycja przyjazdu do Koszalina. Chłopcy zostali z nianią. Następny był teatr w Białymstoku, którym kierowałam od 1955 roku, znowu powrót do „Komedii” w Warszawie. Miałam poważne obowiązki w życiu, musiałam zarabiać, zaczęłam więc gościnnie występować na scenach całego kraju.

W 1981 roku odeszłam z teatru na zawsze. Niedawno pan Stanisław Tym proponował mi rolę... Nie chcę już grać. Nie mam żadnych tęsknot teatralnych. Moim szczęściem jest to, że napisałam pamiętnik. Umieściłam tam wszystko, co przeżyłam.

Moi synowie... „Dudek” miał dziesięć lat, gdy zagrał w „Opowieści atlantyckiej” i razem z Maćkiem w „Tajemnicy dzikiego szybu”. A wnukowie? Grzegorz nakręcił już trzy filmy, dwunastoletni Mateusz grał w „Tropicielach”. Zdumiało mnie jego prawdziwie dojrzałe i świadome aktorstwo. To już czwarte pokolenie naszej rodziny na scenie. Widać moja matka przekazała nam sejf swoich namiętności i talentu.



Irena Górska-Damięcka z synami Damianem i Maciejem.

Fot. Maria Monasterska